

Chciałem wstrząsnąć władzami

Z Bogdanem Czajkowskim, jednym z przywódców strajku studenckiego na Politechnice Warszawskiej w marcu 1968 roku oraz reżyserem i publicystą, rozmawia Mariusz Bober

Po Pana odmowie przyjęcia Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego mogliśmy przeczytać różne opinie na temat powodów tej decyzji. Jaki więc był prawdziwy motyw?

- Rozstrzygający był sprzeciw wobec decyzji Sejmu o trybie ratyfikacji traktatu reformującego. Gdyby nie to, nie poważyłbym się na ten dramatyczny krok. Choć istnieje też powód osobisty i popełniłem kardynalny błąd, wspominając o nim. Ułatwiłem tym manipulację.

Dlaczego w taki sposób wyraził Pan sprzeciw wobec dążenia do szybkiego przyjęcia traktatu reformującego?

- A w jaki inny sposób mój sprzeciw zostałby dostrzeżony? Co innego mógłbym zrobić, aby wstrząsnąć reprezentantami Narodu? Dokonać samospalenia? Prezydent przyznał mi odznaczenie Polonia Restituta - Order Odrodzenia Polski, a jednocześnie władze podejmują działania, które mogą doprowadzić do tego, że ów order - w niedługim czasie - może oznaczać "Polonia Finita". Dlatego uznałem, że w tej sytuacji muszę wypowiedzieć głośne "nie", które usłyszą wszyscy. Całe życie starałem się postępować prostolinijnie, kierując się słowami Norwida; mieć "tak za tak - nie za nie - bez światło-cienia...". To, że władze nie chcą zapytać Narodu o zdanie w tak ważnej sprawie, oceniam jako niegodziwe. Powinno zostać rozpisane referendum.

Nie obawia się Pan jego wyniku?

- Nie jestem aż takim optymistą, żeby zakładać, iż obywatele - z całą pewnością - odrzucą traktat reformujący. Niestety, propaganda zrobiła w Polsce swoje i obawiam się, że wynik plebiscytu może być inny, niż chciałbym. Ale jeśli nawet traktat zostanie przyjęty w referendum, powiem: trudno, tak zdecydował Naród, który jest suwerenem, nawet jeśli sam chce się zniewolić. Taki był jego wybór. Ale tej decyzji nie mają prawa podjąć żadne elity; tylko dlatego, że uważają, iż są mądrzejsze i wiedzą lepiej. Co ciekawe - zwłaszcza te, które w kółko prawią o demokracji. Referendum w sprawie przyjęcia traktatu powinno odbyć się tym bardziej, że dokument ten podważa prymat Konstytucji RP, która została przyjęta właśnie w powszechnym plebiscycie! Dlaczego więc traktat mieliby przyjmować tylko posłowie? Nawiasem mówiąc - skoro elity są tak pewne

wyniku referendum, to przecież ta droga zabezpiecza je przed... Trybunałem Stanu! Przed którym mogą w przyszłości stanąć pod zarzutem zdrady...

Wcześniej mówił Pan, że nie można traktować Pańskiej decyzji jako protestu wobec Lecha Kaczyńskiego. Jednak biorąc pod uwagę Pańskie stanowisko wobec traktatu, trudno nie uznać, że również on jest winny obecnej sytuacji, ponieważ to prezydent uczestniczył w Lizbonie w negocjacjach na temat traktatu.

- Każdy człowiek - także prezydent - może się mylić. Oczywiście, że mam do niego pretensje, właśnie z tego powodu. Jednak jest on tylko jednym z wielu odpowiedzialnych za tę decyzję. Odmawiając przyjęcia odznaczenia, chciałem skłonić do refleksji prezydenta oraz tych, którzy odpowiadają za sprawy państwa, a dążą do szybkiego przyjęcia traktatu. Chciałem nimi po prostu wstrząsnąć; tym bardziej że nadarzyła się dobra okazja ku temu. Może jedyna w moim życiu. Minister z Kancelarii Prezydenta, która długo rozmawiała ze mną, tłumaczyła, że mogłem to inaczej załatwić; że mogłem wcześniej uprzedzić, iż nie przyjmę odznaczenia i... nie przyjsć. Tylko kto by się tym zainteresował? Ja chciałem przemówić głosem tych, którzy są przemilczani. Przecież w wysokonakładowych mediach trudno znaleźć informacje na temat potrzeby przeprowadzenia referendum w tej sprawie. Poprosiłem prezydenta, by pozwolił mi króciutko uzasadnić odmowę, ale się nie zgodził. W mediach zaś zmanipulowano moją wypowiedź, pomijając motyw sprzeciwu wobec traktatu reformującego. Niektóre próbowały zrobić ze mnie człowieka niezrównoważonego. Chodziło także o to, że nie dałem się wykorzystać do bezpośredniego ataku na prezydenta Kaczyńskiego.

To znaczy?

- Oni początkowo myśleli, że ja protestuję przeciwko temu, iż nie zaproszono do Pałacu - ani nie odznaczono - Adama Michnika. To stwarzało widowiskową okazję, aby "dokopać" prezydentowi. Tu pan prezydent jest sam sobie winien, bo nie pozwolił mi na uzasadnienie. Gdy wychodziłem z sali - po niesłyszalnej rozmowie z prezydentem - podbiegł do mnie rozgorączkowany Jan Lityński, "krzycząc" szeptem: "Gratuluję ci, brawo!". Później - gdy już dowiedział się o moich motywach - w TVN i Salonie Politycznym Trójki powiedział, że mam "osobiste obsesje". To pokazuje jego obłudę i całego tego środowiska. Przy tym nie dziwię się specjalnie, że moja troska o niepodległość jest dla niego "osobistą obsesją"... Zawód był tym większy, że powiedziałem tej stacji wprost, co myślę o tej sprawie i o Adamie Michniku. Tego jednak już stacja nie wyemitowała. Ani żadna inna, bo większość mnie o to pytała. Myślę, że nawet mają do mnie pretensję o to, że popsułem im ów wspaniały "pogrzeb", którym miała być "męczeńska"... absencja Michnika!

Co Pan w takim razie myśli i o szefie "Gazety Wyborczej"?

- W marcu 1968 r. ja i moi koledzy upomnieliśmy się m.in. o Michnika, relegowanego z Uniwersytetu

Warszawskiego. Dziś wielu internautów pyta, dlaczego Michnik nie upomniał się o mnie, gdy - w wolnej Polsce - doświadczałem krzywdy (śmiech). Teraz już poważnie. W stanie wojennym współpracowałem z "Tygodnikiem Mazowsze", a redakcja kilka razy korzystała z mojego mieszkania, na dwudniowe "kolegia redakcyjne". Jeszcze kilka lat temu znalazłem w rupieciach kołderkę i talerz, zostawione przez Helenę Łuczywo. W razie "wsypy" ryzykowałem znacznie więcej, bo dodatkowo konfiskatę mieszkania jako "narzędzia zbrodni". To środowisko - już pod wodzą Michnika - przywłaszczyło sobie "Gazetę Wyborczą", przeznaczoną w 1989 r. dla całej opozycji! Dysponując medialnym gigantem - bo "GW" wypełniła ogromną lukę na tym rynku - położył niebываłe "zasługi" w dziedzinie fałszowania historii Polski i indoktrynowania - niestety skutecznie - Polaków w duchu pogardy dla tradycyjnych wartości i naszej historii. Z tej perspektywy uważam, że szkodnictwa A. Michnika nie sposób przecenić. Trzeba też dodać, że owo szkodnictwo ma - jednocześnie - autentyczny i nieoceniony walor, na gruncie krzewienia nowego, demoliberalnego internacjonalizmu. Dlatego jest tak uwielbiony...

A co Pan sądzi o obchodach rocznicowych? Nie odnosi Pan wrażenia, że zostały zdominowane przez sprawę tzw. nagonki komunistycznych władz PRL na Żydów, co wywołało falę ich emigracji z Polski?

- Podzielał pańską opinię. A także zamieszczoną w sobotnio-niedzielnym numerze "Naszego Dziennika" (8-9 marca) w artykule Leszka Żebrowskiego. Obserwując obchody i tę niesłychaną hucpę, jaką w tym roku zorganizowano w mediach, dochodzę do wniosku, że jeśli to się nie zmieni i za 10 lat obchodom nada się podobny charakter, to chyba zorganizuję "bojówki", które będą protestować... przeciw obchodom (śmiech).

Co ma Pan na myśli?

- Opisując protesty w marcu 1968 r., media zakłamuja ich charakter, eksponując zarzut antysemityzmu. Chcę więc podkreślić, że 40 lat temu w ogóle nas nie interesowało, kto jest Żydem. Problem emigracji Żydów po Marcu '68 dobrze przedstawił właśnie pan Żebrowski. Znam też przypadki, gdy otoczenie żydowskie naciskało na poszczególnych Żydów, domagając się, by wyjeżdżali z Polski. Sugerowano im nawet, że jeśli zostaną, dopuszczą się zdrady... wobec wyjeżdżających. Co więcej, w propagandzie antysemickiej - która była cynicznym narzędziem walki o władzę - brali udział także... Żydzi. Niektórzy później wyjechali. Oczywiście, każde naciski na opuszczenie kraju - zwłaszcza ze strony władz - powodowały dramat. Trzeba też jednak pamiętać, że wielu z nas - także ja, który miałem "szlaban" przez 12 lat - zazdrościło im, że mogą wyjechać. My nie mogliśmy uciec z "sowieckiego raju". Dodam, że nie wyjeżdżali z Polski w bydlęcych wagonach i na poniewierkę, na którą skazano wielu naszych rodaków podczas II wojny światowej. W ubiegłym roku wykonałem dla IPN projekt badawczy w Australii i Nowej Zelandii wśród tamtejszej Polonii i jestem pod wielkim wrażeniem ich losów. To tamci ludzie - deportowani z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w

1940 i 1941 r. - przeżyli prawdziwą tragedię. Na tę hekatombę zostało skazanych ponad milion Polaków, w tym dzieci. Wiele z nich nie przeżyło. Ci, którzy przetrwali, do dziś zachowali niezwykły patriotyzm, wiarę i z niezwykłą konsekwencją kultywują tradycję i kulturę polską. Trzeba też wiedzieć, że wielu z naszych rodaków, którym się nie udało (np. z Armią gen. Andersa), zostało skazanych na rusyfikację, ponieważ pozostali w Sowietach, m.in. w Kazachstanie. Około 60 tysięcy z nich zadeklarowało wolę powrotu do Polski. Uważam za największą hańbę III RP to, że o tych ludziach zapomniano. Jeżeli bowiem po wojnie w granice ówczesnej Polski przyjęto ponad 2 mln mieszkańców przedwojennych Kresów, to dziś nie wolno mówić, że III RP nie stać na przyjęcie 60 tys. Polaków. A jednak ostatnio to nie o nich mówiło się najwięcej. Kiedy w ogóle tak "trąbiono" o nich w mediach? Choć ich krzywda jest nieskończenie większa! Zabrakło umiaru - doszło tu do nieprzyzwoitego wręcz zakłócenia proporcji.

Czym były protesty studenckie Marca '68, które również Pan organizował?

- Była to spontaniczna (choć może trochę naiwna) rewolta młodzieży przeciw zniewoleniu Polski. Przeciw okupacji sowieckiej i zakłamaniu, które nazywało ją... niepodległością. Tu przywołam jeszcze raz postać Jana Lityńskiego, ponieważ kilka lat temu napisał, iż wówczas zrozumieli oni - tzw. komandosi - że ich lewicowa retoryka nie trafia do społeczeństwa. Dlatego skorzystali z pretekstu, jakie dało zdjęcie "Dziadów", do przedstawienia się na retorykę narodową. Jednak z ich strony to była czysta taktyka. Z kolei Adam Michnik jeszcze 15 lat temu publicznie przyznawał, że w ich słowniku politycznym nie było takiego słowa, jak niepodległość. My natomiast cały czas myśleliśmy o niej; nawet wtedy, gdy wydawała się ona odległą przyszłością. Marzyliśmy o niej, choć nie wpisaliśmy jej na sztandary. Dla władz PRL to była ideologiczna klęska.

Dlaczego?

- Komuniści nigdy nie dowierzali tym, którzy urodzili się przed wojną i pamiętali niepodległą Polskę. Więc nasze pokolenie - urodzone już w PRL - było w ich planach tym, które utrwali "władzę ludową", zapominając o niepodległości.

Niekiedy w mediach porównuje się polski Marzec '68 do "rewolucji", która przetoczyła się w tym samym roku w Europie Zachodniej, zapoczątkowując rządy lewicy. Dlaczego? Przecież cele były tak naprawdę bardzo różne?

- Jedyna zbieżność, jaką widzę, to ten sam rok, chociaż na Zachodzie "rewolucja" wybuchła w maju. Być może rozruchy w Polsce jakoś zainspirowały młodzież w Europie Zachodniej, ale podłoże ideologiczne obu ruchów było diametralnie różne. My w większości protestowaliśmy przeciw komunizmowi. Nawet jeśli

pisaliśmy na transparentach o socjalizmie, to była to taktyka wobec władz. Mieliśmy bowiem świadomość, że jesteśmy w obozie; może najweselszym jego baraku, jak się wówczas mówiło, ale jednak w obozie. Chcieliśmy wówczas choćby złagodzić panujący "zamordyzm". Natomiast ci, którzy protestowali na Zachodzie, to byli zwykle anarchiści, wywodzący się z różnych nurtów lewackich. Przykładem może być Daniel Cohn-Bendit [obecnie poseł do Parlamentu Europejskiego - przyp. red.]. Do tego, co się działo na Zachodzie, można przyrównać co najwyżej dążenia grupy komandosów...

Te same cele?

- Właśnie, o czym świadczy choćby bliska znajomość i zbieżność poglądów Michnika i Cohn-Bendita. Oni mają podobne źródła. Przed 40 laty grupie komandosów nie doskwierała okupacja sowiecka, ale to, że decydenci PRL realizują nie taki komunizm, który im się podobał. Uważali, że zainstalowaliby go lepiej. Dla Polski oznaczało to jednak takie samo zniewolenie - cóż bowiem za różnica pomiędzy komunistami wprowadzającymi ten ustrój na modłę stalinowską (czy "gomułkowską") a tymi od... Trockiego? W każdym przypadku kraj pozostawał pod okupacją internacjonalistów. To, że niektórzy "komandosi" byli w więzieniu, niewiele tu zmienia. Immanentną cechą komunizmu są walki frakcyjne; czasem na śmierć i życie... Przecież Gomułka też siedział.

Traktat reformujący stanie się narzędziem narzucania po prostu nowej wersji komunizmu?

- Ja bym to nazwał raczej nowym kolektywizmem w sferze wartości. I to - w nieodległej perspektywie - przymusowym kolektywizmem! A więc nową - niezwykle groźną, bo mało "uchwytną" - wersją totalitaryzmu, wprowadzaną przy akompaniamencie "trąb"... demokracji. Polska - i to niepodległa Polska - nie jest najlepszym miejscem do realizowania takiego eksperymentu. Zdają sobie sprawę z tego ci, którzy najbardziej ciągną nas do superpaństwa europejskiego, a które ja nazywam eurokołchozem. Dla takich ludzi niepodległość Polski nigdy nie była fundamentalnym punktem odniesienia. A skoro w Europie może - "po wsze czasy" - zapanować taki ustrój, to bez specjalnego żalu wyrzekną się owej niepodległości. Ważniejsza bowiem jest Europa, w której nie ma miejsca dla Boga i personalistycznej wizji człowieka niż niezależność Polski, w której ponadto do głosu dochodzić mógłby - o zgrozo! - znieprawiony Kościół. Zauważmy jeszcze, że ci ludzie są niejako opętani - począwszy od marksistowskiej młodości - misją "zmajstrowania"... "nowego człowieka". I teraz oto pojawiła się nowa szansa...

Uważam, że obecne pomysły przekształcania UE w superpaństwo to niezwykle groźna nowa utopia. Nie mam wątpliwości, że ten projekt się nie powiedzie. Powstaje jednak pytanie, jakim kosztem Europa przekona się o tym, gdy UE się rozpadnie? Wystarczy cofnąć się do eksperymentu komunistycznego, aby uświadomić sobie, jaką cenę mogą za to zapłacić ludzie.

Dziękuję za rozmowę.

Bogdan Czajkowski - reżyser, publicysta, autor sztuk teatralnych i scenografii. W 1990 r. był autorem głośnych filmów animowanych "z siekierką", w kampanii prezydenckiej Lecha Wałęsy. W 1991 r. twórca kampanii telewizyjnej Porozumienia Centrum. W swoim dorobku ma także krótkie filmy prezentowane m.in. na międzynarodowym festiwalu w Krakowie.